Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 19. Poznań, dnia 11. Maja. 1840.

Literatura zagraniczna.

Denkwürdigkeiten und vermischte Schriften von K. A. Varnhagen von Ense.

Vter Band. 1840.

(Dokończenie.)

Wśród owéj religijno-mistycznéj dążności, którą księżna Ludwika Bourbon całe swoje nacechowała życie, przebiła się jeszcze myśl inna, równie oryginalna, bo myśl socyalnych reform w głowie niewiasty pojęta. Na umysł tak giętki, na uczucie tak silnie pulsujące, na wyobraźnią rozgorzałą wielkiemi obrazami wieku owego, musiały równie łatwo wpłynąć i przyjąć się wyobrażenia, które rewolucya wywołała. Widząc je późniéj zwichnionemi potężną wolą jednego człowieka, uważała, że ustawy, które je obejmowały, nie były dostateczne, i sama ułożyła projekt do ustawy rządu. Przezwała go marzeniem, wątpiąc, aby kiedykolwiek mógł być urzeczywiszczonym. Pismo to jest z 1800. roku; są w niém pomysły, na jakie późniéj u Fichtego, Saint-Simona, Ballancha i innych natrafiamy. Nie możemy ich tu w zupełności powtórzyć, natomiast przytaczamy własne o nich zdanie autorki.

W liście do przyjaciela swojego, owego niegdyś kommisarza, delegowanego od rzeczypospolitéj, któremu pracę swoją była posłała, tak się wyraża: »Sąd Twój nad pomysłem moim do ustawodawstwa, dowodzi mi tylko, co Ci już sam napis, położony na jego czele, powinien był wskazać, jako moją także o nim opinią. Nazwałam go marzeniem, bo i ja nie sądzę, aby mógł być w życie wprowadzony. Ale że ludzie dla zaślepienia, złości swych i egoizmu nie zdolni są wyższego kosztować dobra, mażże to być powodem dla mnie, powiedzieć, że dobrze robią, alboli pojść ich torem? Nie sądzę. Przekonana o lepszości uczuć i pojęć własnych, obstawać za niemi będę, chociażby mi przyszło saméj jednéj mieć takie zdanie, i ponosić ztąd nieprzyjemności i upokorzenia. Nie dzielę zdania Twego, aby to miało być bezkorzystném i niepłodném zatrudnieniem, wylewać na papier myśli, umysłem prawym a cnotliwym poznane, a zamiłowane sercem. Być może, że się na ogólne ustawy narodu nie zdadzą, ale dla pojedyńczych osób nie zostaną bez korzyści. Wszakże prawda jedynie zapala dusze nasze; przed nią niknie rozogniona siła fantazyi i urojeń, tak, jak przed dzienném światłem słońca bledną i nikną wszelakie inne kunsztowne ognie, co nam połyskiwały różną barwą w noc ułudzeń naszych.« — »Przyznaję, że polityka i sprawiedliwość nigdy nie miały jednego znaczenia, ale nie powiem, że go nigdy mieć nie będą. Wolę wierzyć, że przyjdzie czas, iż ludzie otworzą serca prawdzie i przekonają się nareszcie, jako nie ma potężniejszéj polityki, nad politykę na sprawiedliwości ugruntowaną. Boć sprawiedliwość odwieczném jest prawem boskiém, i przez nią tylko wszelakie inne prawa i działania nabierają wartości i mocy. Nie wątpię, że, gdyby ci, co stoją na czele rządu, zstąpili na tę drogę wolą i czynem, staliby się prawdziwymi wykonawcami celów boskich, i na téj podstawie dostąpiliby godziwéj i pewnéj przewagi nad ludem.« — »Być może, że Bóg oko swoje opatrzne obrócił na człowieka tego, (mówi o Bonapartem), ale, jeżeli jest prawdziwym obraz Francyi, któryś mi skreślił, nie myślę, aby odpowiedział tak wielkiemu powołaniu. Nie mogę bowiem przypuścić, iżby w tym stanie rzeczy ręka wszechmocna władała, gdzie takie panuje rozkiełznanie obyczajów, taka ogarniająca wszystko chęć wyniesienia się i zysków, gdzie syn rodzonegoby ojca przedał, byle zostać bogatym. Wolę więc trzymać się tego, co uważam w czasie dzisiejszego zepsucia jako marzenie, bo błogo w niém duszy mojéj. Rewolucya nasza miała piękne cele, ale środki obrała okropne, tych nie pochwalę nigdy. Rozumiem jednak, iż porzucać cel uznany za prawy i dobry, dla tego, że go dopiąć trudno, rzeczą jest albo małéj duszy, albo wielkiego egoizmu; w każdym razie dla męża takiego mieć nie mogę ni szacunku, ni zaufania. Przeciwnie, gdyby był niezmordowanie do owego celu zbieżał, po-

ruszył dlań wszystkie środki geniuszu i cnoty, na jakie naród stanie; gdyby był sprawiedliwym, ale i miłosiernym, w boskiéj mądrości szukał oświecenia, a nie w zarozumiałości ludzkiéj, o natenczas padłabym przed nim na kolana z uszanowania, najgorętszą pokochałabym go miłością, bez względu na to, jakieby były wielkich dążeń jego wypadki. Atoli myślę, żeby je uwieńczyła pomyślność, boć soki dobre, dobrę tylko rodzą owoce.«

Otóż z taką łatwością rozumowania stanowi autorka królewskiego rodu o rzeczach cale nie kobiecych. Na podobieństwo dziewicy Orleańskiéj, co wiodąc wojsko mężów do boju, bez natężenia i nauki, samym bystrym wzrokiem natchnionego ducha, najistotniejszych dozierała strategicznych korzyści, stawa tu księżna Ludwika na czele nowych, wielkich wieku swojego pojęć, wiedzie na zaciętą bójkę z światem przesądów, a naturalnym polotem myśli upatruje wszędzie zwycięzkie strony. Widać, że do Napoleona, choć już Francyą okrył laurami sławy, i został bożyżczem ludu, miała jakieś niezaufanie, a nawet odrazę; nie dla tego, że jéj do ojczyzny wrócić nie pozwolił, bo osobistość nigdzie się w listach jéj nie przebija, lecz może z przeczucia ciosu strasznego, który z potężnéj jego dłoni nie zadługo miał ugodzić w serce matki. W jednym z listów, który pisała do pana R... po odebraniu już wiadomości o rozstrzelaniu syna jéj, księcia d'Enghien, tak się żali: »O pozwól, przyjacielu, że Cię dziecięciem mojém nazwę; wyraz to sercu mojemu tak drogi, a razem tak okropny! Utraciłam syna, który prawem krwi ze mną był połączony; dozwól, bym w Tobie znalazła innego, coby prawem ducha do mnie należał. Niestety! w boleściach porodziłam go; w boleści patrzałam zdala na niego, i po zdróżnych ścieszkach, któremi go wiedziono, dosięgnąć go nie mogła piecza macierzyńska; w boleściach okropniejszych nad wszystkie straciłam go nareszcie! Ty, mój aniele, od pierwszych chwil poznania się naszego, ulgą mi byłeś w cierpieniach. Dusze nasze tkliwe pojęły i poznały się. Zapominam, co mnie dolega, ilekroć czytam listy Twoje; a i na świeżą ranę rozdartego wskroś serca przyłożyłeś balsam pociechy. Bodajbym doczekała się tego, że Bogu duszę tak piękną pozyskam. Rozkosze ztąd doznane wlałyby pokój w duszę moją zranioną.«

Widać w następnéj korrespondencyi podwojone usiłowanie w nawróceniu przyjaciela, którego księżna osobistéj znajomości pana Saint-Martin poleciła. Po śmierci tego mędrca, ona sama pisma jego uczniowi swojemu objaśniała, mianowicie dzieło jego przedśmiertne: le ministère de l'homme-esprit. Interesownie czytać uwagi jéj jasne w najzawilszych materyach teologicznych, które w listach jedne po drugich rozbiera.

W roku 1812., kiedy dzieło nawrócenia już dojrzało, zebrała wszystkie listy i pisma, i uporządkowane w Barcelonie do druku podała. Umieszczone są w końcu rzeczy o moralności, (fragments sur la morale chrétienne), i kilka powieści (petits contes moreaux).

Po upadku Napoleona wróciła księżna Ludwika do Francyi. Ze stanu cierpień i niedostatku otoczył ją nagle blask majestatu, ale dla niéj żadnego już nie miał uroku. Wśród stu dni nowych rządów cesarskich wyjednała sobie przez królową Hortensyą pozwolenie pozostania w miejscu. Napoleon nadto jéj i księżnie Orleańskiéj, matce teraźniejszego króla Francuzów, która w tym właśnie czasie nogę była złamała, znaczne powyznaczał pensye. Z restauracyą powróciły dawne stósunki. Ale wszystko, co ją otaczało, nie przypadało ni do jéj uczuć, ni do jéj wyobrażeń. Usunęła się od dworskiego życia, i w cichém żyjąc ustroniu trawiła czas na modlitwie i rozpamiętywaniu. Tu w roku 1819. dosięgła ją wiadomość, którą atoli umysł ugruntowany w wierze i w pokorze ducha, z należnym przyjął męztwem, że inkwizycya święta, która z Ferdynandem VII wróciła była do Hiszpanii, książkę jéj, jako nasiąkłą błędami kacerskiemi i skażoną niemoralnością, potępiła i wyklęła. Duchowieństwo francuzkie nie wzięło ztąd żadnego powodu naruszenia pokoju księżnéj bogobojnéj i podstarzałéj już wiekiem. Zawsze tego pragnęła, aby ją Bóg wśród modlitwy i z miejsca jakiego poświęconego powołał do siebie. I stało się tak, jak sobie życzyła. Na dniu 10. Stycznia 1822. r., krótko po zejściu nawróconego przyjaciela swego, umarła nagle w kościele św. Genowefy w Paryżu.

Literatura krajowa.

Poezya.

Wyjątek z powieści „Ludmiła" przez Ulrycha,
mającéj wyjść wkrótce z druku.

Ciało bez duszy.

Piękna kobieto! fale twych warkoczy
Długich, bogatych, ciemnych jak twe oczy,
Gdy lekkim krokiem suniesz się po ziemi,
Tak nad twą głową płyną do okoła,
Jakby promienie od świętego czoła:
Błogosławiony, kto pieści się z niemi.

Z pód długiéj rzęsy duże twe źrenice
Miotają wkoło gęste błyskawice,
Niebieskim ogniem wieknuiście płoną.
O twoje oczy, dwie myśli z nad ziemi
Na świat zniesione dłońmi anielskiemi:
Błogosławiona twarz, w któréj utoną.

Usta twe różą, po niéj w każdą chwilę
Skaczą rozkosznie uśmiechy motyle,
Karmią je wonne westchnienia dziewicze;
A z nich tak dźwięczne płyną głosu fale,
Jak pieśń skowronka, jak słowika żale:
Błogosławiony, kto pił te słodycze.

Może twa postać, co tak lekko wzlata,
Jest to mieszkanka piękniejszego świata,
Błędem aniołów na ziemi zgubiona;
Ale nim rzucisz nasze łąki, rzeki,
Błogosławiony ten człowiek na wieki,
Co cię raz może przycisnąć do łona.

Lecz choć form pięknych jak myśl Rafaela,
Gdzież dusza, która życia im udziela,
A w słodszych chwilach drżenia serca budzi?
Formy ukradły wszystko duszy złoto,
Wiara i czucie w piękne zmarzły błoto:
Przeklęty wiecznie, kto kocha cię z ludzi.

Gdy mąż twój walczy za ojczyste prawa,
Śmiechem dla ciebie krew jego lub sława;
Ciebie samotność długich nocy nudzi.
Święte mogiły przy olszowym lasku
Dla ciebie tylko kupkami są piasku:
Przeklęty wiecznie, kto kocha cię z ludzi.

Małżeńsko duszne, lekkie rąk ściśnienia,
Słodycze westchnień, rozkosze spojrzenia,
Platońskie niebo puchów twych nie zbudzi;
Tobie Murzyńskich uścisków potrzeba
Tropikowego dla krwi twojéj nieba:
Przeklęty wiecznie, kto kocha cię z ludzi.

Ni cię zapali głośny hymn rycerzy,
Ni cię rozkwili sielanka pasterzy;
Ni cię uniosą świątyń szczytne tony.
Ciało cielesne tylko szczęście goni.
Przeklęty wiecznie, kto dotknął twéj dłoni,
Dał przed ołtarzem święte imie żony.

Warjat.

(Fantazya.)

. . . .
O w jakież światy unoszą te dziwy
Ziemi i niebios, jasności i cienia!
O jakże ciemny, o jak nieszczęśliwy,
Kto pełném sercem pojąć ich nieumie!
. . . .
Seweryn Goszczyński.

»O ty mi śpiewasz przyrodo-kochanko!
Słowika pieniem i gromów himnami,
O ty mię wieńczysz krasną róż równianką
I skroń płonącą skrapiasz rosy łzami!«

»W poświstach wiatru słyszę twe westchnienia
Nad zapaleńcem, tułaczem, sierotą,
Tyś mię objęła w tęczy uściśnienia,
W słonecznych włosów otuliła złoto!«

»Błogo mi! lubo! tonąć w twe uściski,
Płakać łzą chmurek, patrzeć słońca skrami,
I całą wieczność tak ciebie być bliski,
I wiecznie z tobą rozmawiać — pieśniami!«

»O moja luba! twe błękitne skronie,
Wstydliwym świtu kraszone obłokiem,
Niechaj mi świecą w życiu i po zgonie,
Przed ciała okiem i przed duszy okiem!«

Ha! ha! ha! słyszysz co ten warjat bredzi,
Huknęła śmiechem przechodzących rzesza;
On się odwrócił — i dał jéj w odpowiedź
Uśmiech ironii — i daléj pospiesza
Na kwietne łąki, patrzeć w lubéj lica,
Tam się z przyrodą sam na sam zachwyca.

»Czemu ten warjat tak swobodnie chodzi?«
Zapytał jakiś mędrek od niechcenia,
A drugi odrzekł: »nikomu nie szkodzi!
»Podobni jemu, widzi pan dobrodzij,
»Prócz Tassa — mają przywiléj chodzenia!
»Bo też to lekki jest gatunek szału,
»Żyć ciągle w jakimś świecie ideału,
»Warjować na natchnienia!« — —

8. Lutego 1840. F. Ż.

Niezwykła kara.

Opowiadanie przyjaciela.

»Kochałeś się ty już kiedy, Adamie?« pytałem się raz mego przyjaciela, »gdyż ja o tém bardzo wątpię!« — »Myśl sobie o mnie, co chcesz, ale na to zamiast ci wręcz odpowiedzieć, opowiem ci zdarzenie, które w roku 1813. w zimie na Litwie miałem. Uciekałem z niewoli rossyjskiéj z niezagojoną raną styrane mając siły, a przytém bez pieniędzy i obdarty, a to, jak Mickiewicz powiada, wśród najtęższego chłodu na Litwie, tułałem się od jednego do drugiego dworu, od jednéj do drugiéj wioski. Pewnego wieczora ów najtęższy chłód przechodził dwadzieścia stopni, siedziałem w sankach chłopskich, otulony w kożuch litewski, który mi na drogę pożyczył szanowny P., szlachciurek ubożuchny na małym folwarczku; pomimo to mróz mnie na wylot przeszywał; zdawało mi się, że tuk w moich kościach wymarznie, tak byłem ochudzony i tyle mi raną krwi ubiegło. Zębami dzwoniłem jak gruchawkami; ledwo mógł zrozumieć parobczak mój woźnica, o co się pytam; nareszcie odpowiedział: „ot! tam jak się te dwie drogi złażą!“ Wyjrzałem z mego otulenia, noc była jasna, księżyc w pełni; ucieszyłem się na widok bielą-

cego się niezbyt dalekiego dworu. Wtém doszedł mnie głos prawdziwych gruchawek, różny od mych zębów dzwonienia i niebawem ujrzałem mijające mnie pędem sanki. Za temi jechaliśmy przez wieś aż do dworu; tam sanki stanęły, ktoś wysiadł, a mnie też w kilka sekund chłopskie konie przywlekły. Czy pan jest w domu? — Właśnie co tylko przyjechał. — Dałem kopejkę memu woźnicy, złożyłem na sanki kożuch, kazałem woźnicy do domu jechać i panu się kłaniać.

Wchodzę do pokoju, przed kominkiem grzeje się trzydziestokilkoletni mężczyzna przystojny, głowa wysoko zadarta, czupryna jeszcze wyżéj, mina imponująca; obejrzał mnie od stóp do głów i niesmaczny zrobił grymas, pytając mi się: »Kto wasan jesteś i czego żądasz?« — »Jestem Adam S.,« odpowiedziałem, »pan P. odesłał mnie tu, zapewniając, że u pana dobrodzieja schronienie chwilowe i równą gościnność znajdę, jak u niego znalazłem, jak u każdego dobrego Polaka znaleść spodziewam się. Nie zatajam tego, iż w bardzo przykrém znajduję się położeniu, ale tém większą mam ufność, iż pomoc zacnego obywatela nie będzie mi odmówioną. Zresztą najlepiéj przemówi za mną« rzekłem, wydobywając list z kieszeni, »rekomendacya, którą mi kuzyn pański dał do pana; poznałem go w Lidzkiém i polecił mi wstąpić do pana!« — Przerzucił szybko list oczami: »Wszystko to są piękne słówka, na które ja po prostu odpowiadam, że takich, jak wasan wałęsów za drzwi wypychać każę. Nie myślę się na żadną nieprzyjemność dla wasana wystawiać i dla tego proszę za drzwi!« — O, nie wystawisz sobie, co się natenczas we mnie działo; najwyższe oburzenie skoncentrowało się w dreszczu okropnym, który całe moje ciało przeszył; ścisnąłem pięście i już co tylko miałem się rzucić na tego łotra, gdy on, przewidując zapewne wybuch mego gniewu, śpiesznie drzwi otworzył i zakrzyknął donośnie: »Héj, Janie!« — »I cóż tam, panie?« — »Za drzwi tego natręta! precz z podwórza! a jeżeli się będzie hardo stawiał, to aktuaryusz niech go do komorki wpakuje, a jutro do kapitana sprawnika odstawi!« — Ostatnie wyrazy jego groźby przytomność mi umysłu wróciły; poznałem od razu, iż tu niema co żartować. Ile mogłem wzgardy zebrać, tyle skupiłem w mém oku i tém okiem migającém się, jak u hijeny rzuciłem na niego; niemógł wytrzymać mego wzroku, jakby uczuł swoje poniżenie a moją wyższość. Wyszedłem — i szedłem przez wieś bez celu, bez myśli, niezdolny byłem wówczas zastanowić się nad tém, dokąd mi iść wypada. Nareszcie ziębnąwszy w chudéj płaszczynie instynktowo zwróciłem moje kroki do karczmy; a potem powziąłem nadzieję, że może odesłane przezemnie sanki zacnemu P. zatrzymały się dla popasu w karczmie. Nadaremno; inną drogą wyjechały, nie koło karczmy prowadzącą. Była to niedziela; — gdy do karczmy wszedłem, ciepło, kurzawa i nieprzyjemny zaduch mnie ogarnęły. Zastałem huczne, tańcujące koło; parobczaki spotniałe na wpół pijane miotały dziewczynami jak rękawami, a one zwijały się jak mogły, aby wystarczyć temu gwałtownemu popędowi silnych obejmujących je ramion; nie było nic estetycznego w tym tańcu, owszem jakaś dzikość i nieokrzesanie. Nie uważali na mnie. — Jedyną chwilę mają wśród całego życia radośną, rozkoszną, a do radości, do zapomnienia swéj niedoli potrzeba im odurzenia, trucizny przytomność odbierającéj. To sobie pomyślałem, czując tak wielką sprzeczność między dziką ich wesołością, a usposobieniem mego humoru; nareszcie usiadłem na ławie pomiędzy starszemi pijącemi za stołem wódkę chłopami. Kazałem dać sobie kieliszek wódki na mój kaszel wcale nie zdrowéj, ale cóż robić? Gospodyni zaprzątnięta częstowaniem stawających co chwila koło szynku tancerzy, notowaniem na grzędzie długów, a córki tańczą; niemożna więc było nic gotowanego dostać. Pomimo skłonności, którą nam do obcowania z biednym nieoświeconym ludem, wtenczas przy podobném usposobieniu niemogłem się przymusić do zaczęcia z pijącemi chłopami rozmowy; całkiem oddałem się dumaniu, a jednostajny dźwięk zyzolenia skrzypic i dudów jeszcze bardziéj mnie w dumanie pogrążył, uczynił mnie głuchym na wszystko i migające mi się ciągle w oczach koło zrobiło mój wzrok na wszystko mnie otaczające obojętnym. Zatopienie się w myślach pochodziło jednak głównie z zastanowienia się nad mym losem. Schorzały, obdarty, bez pieniędzy wśród nieprzyjaciół bez żadnego pewnego schronienia, bez podpory, bez pomocy, pomimo całéj odwagi uledz musiałem chwilowemu zwątpieniu; nie zwątpiałem o sobie, ale zwątpiałem o ludziach, w których obudzić rozumiałem uśpioną siłę duszy.

Po przyjęciu jakiego doznałem od pana w téj wiosce niepodobna było, być innego humoru, do zacnego P. wracać już mi nie wypadało; a gdy rzuciłem okiem na otaczających mnie chłopów, pomyślałem: proste dusze, zgnębione nędzą i pracą w największą ciemnotę, wy jesteście pomimo waszego poniżenia najszczęśliwszemi; wasze życzenia nie sięgają daléj jak do karczmy, żołądek napełniwszy i głowę rozmarzywszy nie troszczycie się o nic na świecie. Wam obce i obojętne wszelkie wyższe cele, bo w zapasach z nędzą najwyższym waszym celem jest utrzymanie życia, dążeniem ulżenie sobie materjalnego ucisku, rozkoszą zwierzęcość; lecz niedoli obcéj, katuszy, na które czuła du-

sza w tym zimnym samolubnym świecie jest wystawiona, niezdolni jesteście pojąć, zrozumieć, a tém mniéj współczuć obce wam cierpienia. — W porównaniu z waszą niedolą zdają wam się wszystkie inne niedole lekką lub urojoną dolegliwością; ale przytém o ile szczęśliwsi odemnie jesteście, nie odezwę się z moim do was żalem, bobyście mnie niewyrozumieli. Byłbym może w głębszą i mizantropiczniejszą wpadał zadumę, gdyby do mnie nie był zagadał podeszły chłop, który od kilku chwil zbliżywszy się we mnie się wpatrywał: „Panisko z daleka?“ Z daleka, przyjacielu! „To pewnie i zmęczony, chciałbyś pan najprzód co zjeść, a potém się przespać, a tu ani tego, ani owego w karczmie pan niedostaniesz.“ To pewna, przyjacielu! ale dokądże się udam, już późno? „Do dworu,“ bąknął chłop. Słyszałem, że pan wasz nieludzki, i słyszałem to od mego przyjaciela, który będąc w podobnéj jak ja potrzebie, przyszedł prosić o wsparcie waszego pana, a ten go kazał za drzwi wyrzucić. „Być może, być może; pomruknął chłop; tak się i z nami obchodzi; więc kiedy nie do dworu, to chódź pan do mojéj chaty, a chociaż w niéj pusto i rozkoszy nie ma, znajdzie się panu lepsza niż tu wygoda.“ Poszedłem za nim do jego chaty. Wchodząc rzekł: „Pietrusiu, prowadzę ci gościa; zrób no klusek z pięknéj mąki, i nakraj w nie skwierek z słoniny i upiecz na maśle kuraka, bo to delikatne panisko do mięsa przyzwyczajone.“ Klusek to chętnie ugotuję; ale co kuraka, to niemogę, bo trzeba na trzy króle oddać do dworu trzy kuraki, a też ich więcéj niemam, bo co było to się do miasta na sól wyniesło.“ Towarzysz mój pogroził pięścią: „milcz babo i zwijaj się!“ Baba rada nie rada zakrzątnęła się niebawem do gotowania, a ja przyznam się niemiałem ochoty odmówić, bo czułem mocny głód i potrzebę zdrowéj nieciężkiéj strawy; a potém pomyślałem sobie: z niewielu pieniędzy, które mi jeszcze zostają, potrafię jednak chłopu tego kuraka sowicie wynadgrodzić.

(Dokończenie nastąpi.)

O rzeczywistém istnieniu myśli.

(Dalszy ciąg.)

Zastanawiając się bliżéj nad naturą myśli po ludziach, dostrzegamy, że u wszystkich jest jednaka, różniąca się nie treścią swoją, ale obfitością treści. Co jeden poznał i uznał za prawdę, to i każdy inny poznaje i uznaje; gdzie jeden wykrył błąd i przekonał, tam go i drugi dostrzega i przekonywa się. Ta tylko różnica, że pierwszy to o własnych czyni siłach, drugi o obcych. Musi więc być oraz pewna myśli sprężystość, zapewne od szczególnego składu organicznego zależna, aby była oryginalną. Na owéj zaś jednakowości myśli u nauczyciela i ucznia polega możność nauczania. Co w jednego myśli już się do wiedzy rozwinęło, to i drugiemu da się udzielić; bo u obydwóch jest ten sam duch wiedzy pierwotnéj; tam, we względzie pewnego przedmiotu wiedzenia, już ocknięty, tu jeszcze uśpiony. Już Sokrates nazwał nauczanie sztuką duchowego babienia, pomogą wydobycia na jaw przekonania, jakby złożonego w łonie myśli płodu. Wszakże inaczéj i dziś jeszcze pojmowania sobie nie wytłómaczymy, jeżeli nie przypuścimy myśli pierwotnie wiednéj w każdym człowieku, która trącana to o myśl z natury przezierającą, to o pomysł swój lub obcy, z siebie do poznania nowego pomysłu przychodzi, i czy to u siebie, czy u kogo innego pomyślany, swoją zawsze widzi własnością. Cóż jest przekonanie, owa, że tak powiem, myśli pieczęć urzędowa, jeżeli nie ścisła zgodność myśli z myślą, oryginału z kopią? Myśl przeto panująca w każdéj jednostce myślącéj, różna jedynie miarą mniejszego lub większego objawienia się, i tylko pod tym względem indywidualna, jest co do istoty ogólną wszystkich ludzi własnością, rozlaną po całém plemieniu człowieczém, istniejąca w niém i przezeń. Toby była pierwsza przedmiotowa cecha, wyłamująca myśl z podmiotowości pojedyńczego człowieka, ale przywięzująca ją jeszcze do indywidualizmu plemienia, do umysłowego całéj ludzkości usposobienia. Charakter jéj rzeczywistości w takiém ograniczeniu jest jeszcze formalny, jako własność, przymiotowość pewnéj klassy tworów.

Wszakże myśl w pierwszym zaraz momencie bytu człowieka okazuje, że nie jest samą przymiotowością, ale rzeczywistą, samodzielną duchowości jego istnią; zdolna wychwycić się ze zamkni ciała, wystąpić na zewnątrz w pojawie. Jak w człowieku nie miała osobnego istnienia, ale istniała przez spójnią ducha z ciałem, tak i na zewnątrz mieć nie może samego zazmysłowego bytu i pojawić się musi w materyalném podsłaniu, lecz już w przemożnéj przewadze nad tworzywem, którego tu tylko używa, jako środka do wyjścia z utajenia na pojaw, z życia człowieczego na życie świata. Tym środkiem jest materya rozcieniona w pierwszym zgęszczenia się swojego stopniu, gaz oddechowy. Nowsi lekarze i fizyologowie utrzymują, że tchnieniem samém (aura seminali) zapładza się życie, i że tą drogą duch przez materyą w łonie materyi zaszczepia się. Odszedłszy raz od sprzecznych z pojęciem wyobrażań duchowości w formach osobnego od materyi

istnienia, i przekonawszy się, że duch tylko w materyi pojawić się może, która nim żyje i na cel jego wyrabia się, łatwo nam będzie pojąć, że duch zaradzający tworzywo unosi się w materyalnéj rozcieni, jaką tworzą gazy. Może te materyalne pierwiastki w ogólności są podścieliskami ducha, któremi wiąże się i utrzymuje wszystkich światów życie. Tą przynajmniéj myślą odgaduje się cel atmosfery oblewającéj każde ciało niebieskie, i ożywna dla wszech istot potęga kwasorodu, nieodbytego warunku życia.

Rzecz uderzająca, że najnowsi jeszcze fizyologowie, jak Magendie i Johannes Müller, rozbierając teoryą oddychania, cel takowego widzieli jedynie w tém, aby kwasorodem ożywiała się krew, a z saletrorodem nieprzydatnym do życia wychodził rozwijający się we krwi gaz węglowy. Nie podobna przecież przypuścić, aby przyrodzenie tak opatrzne i wyrachowane we wszystkiém, gdy potrzebowało ustrój człowieczy ożywić kwasorodem, wprowadzało mu do płuc bezpotrzebnie blisko cztery razy tyle saletrorodu, który się tam oddzieliwszy miałby być wyziewanym nazad, jako na nic nieprzydatny materyał. Uważając daléj, że wśród mówienia czujemy tylko potrzebę wciągania w się powietrza, a nie wypuszczania oddechu, przekonywamy się, że oddech głosem mówiącego dochodzi, zkąd na odwrót łatwy wniosek, że oddech złożony z przeważającéj ilości saletrorodu, i nieco kwasorodu, wodorodu i gazu węglowego jest materyalnym zasobem dla głosu, przygotowanym w piersi człowieka dla myśli, kiedykolwiekby się chciała to przez uczucie, to przez wyraz na zewnątrz pojawić. Zdaje się, że w całéj naturze saletroród głównie ma to przeznaczenie, być posłannikiem głosu. I tak w wodzie, gdzie go jest bardzo mało, i to tylko rozczynionego z powietrza po powierzchnich warsztwach, uderzenia dwóch ciał twardych o siebie, szelest i t. p., albo nader słabo, albo z dalszéj głębi całe nie są dosłyszalne; nieme też są ryby, i otchłanie wód ciche, jak grób.

Myśl więc, jak promień ducha, po oddechu, który organa głosowe w rozlicznéj rozmaitości, przez różne ściśnienie i roztwór, na głos wyrabiają, wystrzela na zewnątrz i wyraża się. Pierwszym wyrazem myśli jest krzyk nowonarodzonego dziecięcia. Do téj chwili spoczywała uśpiona w pierwociu; bo pierwocie (embryo) było tylko życiem życia matki. Odłonione zaczyna dopiero własny byt, wstępuje na świat jako osobne jestestwo. Świat też bierze go w swoje objęcia; powietrzem, jakby tchnieniem swojém, obejmuje, ożywia nowego przychodnia, otwiera mu pierś, i drażniąc nerwy, budzi myśl dotąd uśpioną. Ockniona odzywa się płaczliwym krzykiem, jakby prognostykiem przyszłéj ciągłéj walki ducha z ciałem. To rozmarzenie myśli z dziewięciomiesięcznego snu w matrzycy, trwa długo, zanim przyjdzie do siebie, i wyrazem jasnego poznania na zewnątrz się odezwie. Taki to dopiero wyraz myśli jest słowem, ulatującém z ust po oddechu. Owo słowo, które przy tworzeniu ciałem się stało, wychodzi z ciała na odwrót słowem. Twórca dzieło swoje ogłasza. — Słowa są wyrazami żywéj myśli; mowa jéj mieszkalnym na zewnątrz namiotem, albo nikłym z dźwiękiem głosu, albo trwałym do czasu, jak pismo. Myśl twórcza wyrabiając się w człowieku w przewagę możności pojawienia się na zewnątrz, musiała twory myślące usposobić narzędziami, ku wydaniu artykułowanych głosów, składających mowę, myśli człowieczéj pojawną potęgę; aby zaś w tym zewnętrznym pojawie mogła na odwrót łączyć się z wewnętrzną myślą człowieka, musiała go obdarzyć potrzebnym ku temu organem zmysłem słuchu. Bo myśl wiedząca się w jednym tworze, wie się oraz we współtworach swoich; i dla tego to taka myśli do myśli sympatya, taki pochop do pojawu, do udzielenia się wzajemnego. Gdyby człowiek samotny został na świecie, do niemych i nierozumiejących przemawiałby zwierząt; a gdyby i tych nie stało, jak ów sługa Midasa przyległby ustami do ziemi, i do jéj wnętrza wiedzą swoją przemówił. Słowo zatém — myśl uzewnętrzniona urobieniem oddechu na głos — po tym samym środku powietrznym, którym przez usta wychodzi, daje się pochwycić narzędziem ucha; zadraśnia nim nerwy słuchu i odbija się nazad w myśli.

Akustyka tłómaczy wszelakie wrażenia słuchu, głos, ton, szelest, huk i t. p., przez różne, mniéj więcéj mocne zadrgnienie powietrza. Takie atoli martwe tłómaczenie natury nie starczy na przekonanie. Przez środek (medium) powietrza odnosi się wprawdzie wszelaka słyszaność do słuchu, ale nie jest skutkiem saméj jego wibracyi. *) Filozoficznie obala taką teoryą ten konieczny wniosek, że jeżeli drganie powietrza na nerwy nasze takie uczucie sprawia, które my nazywamy głosem, tonem, szelestem i t. d.; to sąd, aby to uczucie na zewnątrz istniało, jest fałszywy. —

---

*) Idąc np. pieszo, więcéj rozpieram powietrza całym sobą, niżeli samą stopą; większa więc być powinna w pierwszym, niż w drugim razie, wibracya: a jednak, albo wcale nie, albo mało co, słychać szelest chodu, tylko samo tarcie się stopy o ziemię. Rozbijając powietrze najtęższym pomachem ręki, nie dosłyszym głosu, kiedy słaby pociąg wątłéj trzciny przez powietrze zadźwięczy. Gięty suchy papier chwaszczy mocném trzeszczem; wilgotny nic dosłyszanego nie wyda. Przykładów tego bez końca naliczyćby można, które z teoryi drgania nie wytłómaczymy.

W całéj naturze jest życie, bo i nieorganiczne twory żyją, choć życiem niemyślącém; wszędzie jest myśl utajona, jako odblask ożywiającego ją ducha; w całéj też naturze jest głos, jako téj myśli przyrodnéj pojaw zewnętrzny. W przemodze materyalności nad duchem, w nieorganicznych tworach, nie może się dobyć myśl wolą swoją, i odezwać słowem, ale jedynie przez wpływ zewnętrzny, przez tarcie, uderzenie ciała o ciało, i wszelakie inne, do tarcia odnoszące się dwóch ciał styki. Tarcie więc powinno być pewnikiem akustycznych badań, zastósowanym do różnych własności ciał ścierających się. Drganie jest tarcie się o siebie i słyszaność w tém szczegółowém wyłączeniu jest tonem, podstawą muzyki. Główną cechą życia przyrody jest ruch nieustanny jéj żywiołów. Gdzie ruch, tam tarcie się, i dla tego natura ciągle w różnych głosach do słuchu naszego przemawia: łagodném pluskaniem wody płynącego strumyka i straszliwym hukiem rozbijających się podczas burzy bałwanów; miłém szeleściem igrającego po kłosowym łanie powiewu i przeraźliwém skowyciem rozpasanego orkanu. Człowiek, syn natury, rozumi ten głos matki swojéj, i już go nań rozkosz, już bojaźń przejmuje.

U zwierząt, mianowicie u tych, gdzie już ciepło jest żywiołem życia, doskonalszy jest organizm, doskonalszy też pojaw myśli. Nie czucie samo objawia u nich życie, ale uczucie, którego podścieliskiem ciepło. W języku naszym głębokie i tu pokazuje się wnikanie w prawdę. Uczucie jest istotnie czuciem tylko, ale wyższém, dokonaném, zagrzaném przez ciepło żywotnie: mówimy dla tego o gorących uczuciach. Uczucie zesierdzone (zkoncentrowane) jest zapałem; ciepło zapalające się ogniem elektrycznym. Widzimy u zwierząt i u ludzi, strach — stłumienie uczuć — w dreszczu i zimnie; a zapał w iskrawym ócz połysku. Do uczucia wbiła się przemoga duchowości u zwierząt ciepłokrwiowych; zażegniona niemi, wydaje na zewnątrz głos, w którym się także nic więcéj odbić nie może, jak uczucie. W żałobliwym pisku ptaków, lub wesołym ich śpiewie, w jękliwym lub jędrnym pogłosie zwierząt, rozpoznawamy uczucia, jakie je wydały. Syk, rechcenie płazów, brzęk owadów, nie wydają uczuciowych odróżnień; u ryb i robaków całkiem głosu nie dosłyszano.

W samym człowieku myśl myśli rodzi, i słowem na zewnątrz je wydaje; i dla tego to taka jest słów moc i siła. Są one piastunami największéj ducha władzy, posłannikami razem czucia, uczuć, pomysłów, nie tylko pojedyńczych ludzi, ale całych towarzystw; zdolne przeto nawzajem pobudzić do najwyższych uniesień. Co jest, co człowieka w wyrzeknioném słowie w głębi serca zadraśnie, co gniewu płomieniem twarz jego obleje? Co jest, co mu przez słowa łzę z oczu wyciska, co go do wysokiego zachwytu unosi? Zaprawdę nie dech, nie głos, ale myśl, posłana na skrzydłach głosu, w duszę jego. Kiedy minister Ludwika XVI. zgromadzonym generalnym stanom Francyi przyniósł rozkaz rozwiązania się i rozejścia, i podniósł się Mirabeau i rzekł: »Idź, powiedz twojemu panu, żeśmy tu nie z jego, ale z narodu woli«; co sprawiło, że się przed temi słowy ukorzyła wielkiego króla potęga; że pobladł i zadrżał na nie cały średniowiekowy feudalizm? Bo na tych słowach unosiła się myśl ludu, sięgającego po raz pierwszy po prawa mu należne; myśl brzemienna w rewolucyą, cuchnąca już wonczas krwią i mordem. Są wyrazy wielkich, treściwych myśli, jak sława, honor, miłość, ojczyzna, posłuszeństwo, interes i t. p., do których wiąże się integralna część prywatnego lub publicznego życia; cała przyszłość i przeszłość. Nie jest więc tak niedorzecznie, choć jest okrutnie, gdy w czasach ciemnoty trwożliwa o się tyrania zakazywała publicznego używania pewnych wyrazów. Są wyrazy, które są moralną dźwignią spraw ludzkich, kompasem wskazującym kierunek działań człowieka, magnesem umysłowym, pociągającym za sobą miliony ludzi; bo myśli do tych wyrazów przywiązane, na zewnętrznych, rzeczywistych polegają stósunkach. Ztąd też w język narodu zwierają się wszystkie jego duchowe potęgi, całe usposobienie, cała wielkość jego. Mowa jest obrazem myśli, powiedział autor grammatyki narodowéj; prawda wielka, któréj znaczenia nie pojmował naród. Mowa polska, którą kaleczył, którą pogardzał, była przecież obrazem ducha jego. Język jest krwią spirytualną, co obiega żywotnie żyły narodu, i utrzymuje mu choćby letargowe życie, że się ciało jego nie rozłoży i w inne nie przejdzie składy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd pism.

Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy

przez J. Kraszewskiego. Tom I. i II.
Wilno, u Glüksberga 1840.

(Ciąg dalszy.)

Kiedyśmy przybywszy potrzebowali nająć czólno, żeby nas ztąd daléj przeniosło na Styr, radziłem spiesznie z tém żądaniem udać się do szlachty, ale mój towarzysz podróży, znający miejscowość, odpowiedział mi: Szlachta sama nie najmuje czółen swoich i siebie bez arendarza wszechwładnącego Łachmana. On ich godzi, kłóci, najmuje i połowę najmu sobie bierze. Żaden szlachcic nie ma objjanika, a gdyby go miał, żydzi, którzy przy sobie utrzymują monopolium żeglugi, zarazby go odkupili. Żyd tutaj jest to osoba wszystko mogąca, wszystko znacząca, a panowie szlachta

mimo całéj swéj dumy, słuchają go jak pana. Łachman każe iść, idą, każe nie iść, nie pójdą, swata ich, żeni — godzi, kłóci, bogaci i obdziera — słowem jego to kraj i zawojowana prowincya, on z téj strony Stubła, z drugiéj P. Skirmunt jednakowo panują.

Ruszyłem ramionami, myśląc o władzy, jaką oni ruchliwym umysłem, kwaterką i pochlebstwem wyrobić sobie umieją. Tymczasem z łaski i namowy P. Łachmana, ruszyła szlachta napiwszy się wódki, gotować nam czólno, z którego wylewano wodę, zaścielano słomą i wiszarem we środku. Reszta próżnujących a ciekawych otaczała nas prowadząc żywą rozmowę.

Na samym przedzie kolumny stał P. Hor.... mający jak było widać, reputacyą dowcipu i rozumu; nieco podpiły i bardzo wesoły. Jego oczki świecące i zęby ciągle wystawione na jaw, dowodziły, że humoru nie brak mu było. Cały w konceptach, śpieszył się z gadaniem, chcąc jak widać wysypać przed nami wszystko co miał w głowie.

Wszystko prędko będzie — niech się panowie obywatele nie turbują. Szlachta sernicka nie odmówi przysługi dla swojego sąsiada. Żwawo chłopcze, zawołał na wylewającego wodę z czólna. To dobry chłopiec — obrócił się do nas — o będziecie z niego PP. obywatele kontenci — to krew moja, a familia Hor.... nie zawodzi.

Uśmiechnąłem się na te słowa, które mi przypomniały słyszane niedawno od jednego wołyńskiego magnata, z równą dumą jak z ust sernickiego szlachcica wyszłe — podobne wyrazy zupełnie jednéj myśli z témi.

Potém P. Hor.... ciekawy o mnie, kto jestem, bo mnie nigdy nie widział, póty chodził, póki się nie dowiedział nazwiska i znajomości niezabrał. Nareszcie przymówił się niezgrabnie do garstki tureckiego tytuniu i zaczął narzekać na zerwaną groblę na części gościńca pocztowego, należącéj do Sernik pod Lubiaziem. — Ach panie co za czasy! co za czasy! kiedyś to i ja tamtędy wodziłem P. Generała Beningsena, a nie kazali grobli reperować choć dla tak wielkiéj figury; tylko kołkami wytknięta była droga. Między niemi trzeba było jechać, a krok w bok to i zginiesz. No — a ja przeprowadził. Potém poprawiwszy pasa, utarłszy nosa po szlachecku, tak daléj prowadził, nie mogąc zamilknąć. — Nie ma czém PP. obywateli przyjąć szlachta sernicka, dla PP. obywateli to wiele potrzeba. — Ot, odezwaliśmy się, dobrém sercem i gawędką przyjmujesz. — A może, odezwał się drugi z tyłu, panów to gadanie napiłych obraża. — Bynajmniéj, owszem bawi. — Nie — nie może obrażać! — I pewno nie, zawołał Hor.... czemuby obrażać miało. Szlachcie na zagrodzie, równy wojewodzie Mosanie. *Szlachcic w łapciach a człowiek!* (co do słowa). Mój towarzysz chcąc zażartować odezwał się: Ależ żartujesz P. Hor...., że nie masz czém przyjąć, macie takie piękne szlachcianki. — O! o! o! co tego to nie ma! dalbóg nie ma; o nie! rzekł nadstawując się dumnie, a reszta szlachty potakując rozśmiała się. — Waść się śmiejesz, odparł Hor.... do jednego, który miał dwie łysiny z dwóch stron nie ogolonéj brody, alec to wiadomo, choćby WPana żonka była jak ładna! . . . kiedy Sampana, to jéj nie ma dla nikogo. — Wszyscy kiwnęli głowami, P. Hor.... się uśmiechnął i napędzał do gotowania czólna.

Gdyśmy tak rozprawiali, przyrządzono do drogi obijanik i żegnając szlachtę siedliśmy do niego. Powoli odbito od brzegu. Mijając chaty szlacheckie i karczmy nadbrzeżne, płynęliśmy Stubłem ku Styrowi, a na brzegu widzieliśmy jeszcze stojącą szlachtę nad wielką barką naładowaną garnkami.

Myślałem wtedy o téj dziwnéj osadzie, o jéj obyczajach i życiu tak nędzném, które łatwo poznać z samego ich ubrania. Najbogatsi Machnowicze, z których jeden piastował dostojny urząd kluczwójta, a spadek po nim niedawno żwawe obudził spory, reszta, mnogie rodziny Sernickich, Poluchowiczow, Dubinów, Szołomyckich, Szuszków, Boryczewskich, Kudernickich i t. d. żyją ze swoich zagonów, z najmu na czólna, do kośby i żniwa w okolicy. Przy całém tém ubóstwie jest w nich jednakże rodzaj dumy, który ich od chłopów odróżnia. Krój nawet ubioru mają odmienny. Wprawdzie siermięgi Sernickich są białe jak u chłopów, ale mają niby kształt kapot, kołnierze małe innym krojem, pasy nie czerwone ale czarne, na nogach łapcie takież jak noszą wieśniacy, lecz przy nich często rzemyki zastępują sznury. Szlachcianki chyba w wielkie święta, gorset i trzewiki kładną, i to nie wszystkie, zresztą ich ubiór niczém od chłopianek się nie różni.

Charakter płci obojéj, a nawet rysy twarzy znamionują ich i oddzielają, niektórych miny poważne, włosy siwe i bez kołtuna, prześliczne łysiny, z pod których wygląda guz dumy bardzo wyraźny, jakem to miał zręczność na głowie jednego z Machnowiczów opatrzyć.

Wszyscy są dziś wyznania greckiego, zabobony ich wspólne z chłopami, o których ocierając się, mimo dumy wrodzonéj, przejąć musieli od nich wiele mniemań i zwyczajów. Słyszałem jak jeden z wiozących nas Hor.... rozpowiadał o młodym chłopcu, po którym właśnie dzwoniono w Cerkwi, a dźwięk ten towarzyszący powieści, miał w sobie coś nadzwyczaj poetycznego — bo i księżyc świecił i wody szumiały i dzwon pogrzebny zwolna się odzywał. — Ten chłopiec, mówił, swatał się do jednéj szlachcianki i jakoś się sobie nie podobali, on wkrótce potém zachorzał i zaraz umarł z *tego*. Stary, łysy Machnowicz rozśmiał się i rzekł: Zabobony!

Szlachta mówi językiem ruskim chłopów wołyńskich, mieszając weń słowa polskie, a czasem i przysłowie stare, zabytek ich pochodzenia i ślad cywilizacyi. Ich spory i kłótnie zażarte, są także piętnem właściwém dowodzącém pochodzenia, zachowali w nich upor i zajadłość taką, że czasem zabicie kaczki lub kury bywa przyczyną niewygasłéj kłótni między familiami całemi.

Gdyśmy się coraz, płynąc, oddalali od Sernik, prowadził nas bieg wody między z rzadka stojące po brzegach krzaki karłowate olszyny. Jedni z drugich śmieli się przewoźnicy, że to ich puszcza, a wskazując na pniaki stare, od których chude puszczały latorośle, wmawiali sobie dumnie. — I to olcha Sampanie. — A cóż panie Antoni, alboż nie puszcza, wszak tędy nie dawno szedł łoś od Mikołajewa. — A tak panie Janie — łoś! — Widok tych ludzi zajął mię i zasmucił razem. Stan ich barbarzyńskiéj ciemnoty, a przytém pomięszane jakieś wspomnienia arystokratyczne lepszego rodu; duma w każdém ruszeniu i słowie, smutno od siebie i od ubóstwa ich odbijały. Przez jakież to koleje ci ludzie doszli do takiego stanu, takiéj ślepoty!

Powieść miejscowa, nie wiem o ile prawdziwa, niesie: że sernicey szlachta noszą jeden herb i mają go nadanym od królowéj Bony. O co chcesz spytaj u nas, o zamek, o nadanie, kościół, lud ci zawsze tę Bonę przypomni. Smutny to dowód, jak sławę często niesłusznie świat daje, jak imiona często najmniéj pamięci godne, wyżéj siedzą od najgodniejszych wspomnienia.

Wszystko jéj teraz przyznają, czego ona nie zrobiła, królowa Bona z całego szeregu królów Polski jest niezawodnie najpopularniejszą, a tę sławę pozyskała jéj kilku zamków i kościołów budowa, i nadania prawa Magdeburskiego miasteczkom, które do niéj doczeście należały.

Herbu Sernickich nie znajdziesz w Niesieckim. Pomiędzy szlachtą mieści się i nieszlachta, wyzwoleńcy, którzy od panów uwolnieni tu zagony kupują — i takich liberowanych jest kilka familij. W okolicach Sernik kilka jest jeszcze podobnych osad szlacheckich, że innych nie wspomnę. Dzikowicka wśród niedostępnych błot bliżéj Pińska położona, ale zdaje się, że szlachta tamtejsza straciła więcéj charakterystycznéj dumy. Kto wie, jaki jest ich ród i pochodzenie? Jeśli to tylko rozrodzona familia szlachecka, czy resztki jakiego ludu rozsypanego, przychodniego, któremu nadano swobody, jak się to często zdarzało. Zostawiamy to dalszym badaniom.«

(Dokończenie nastąpi.)

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*